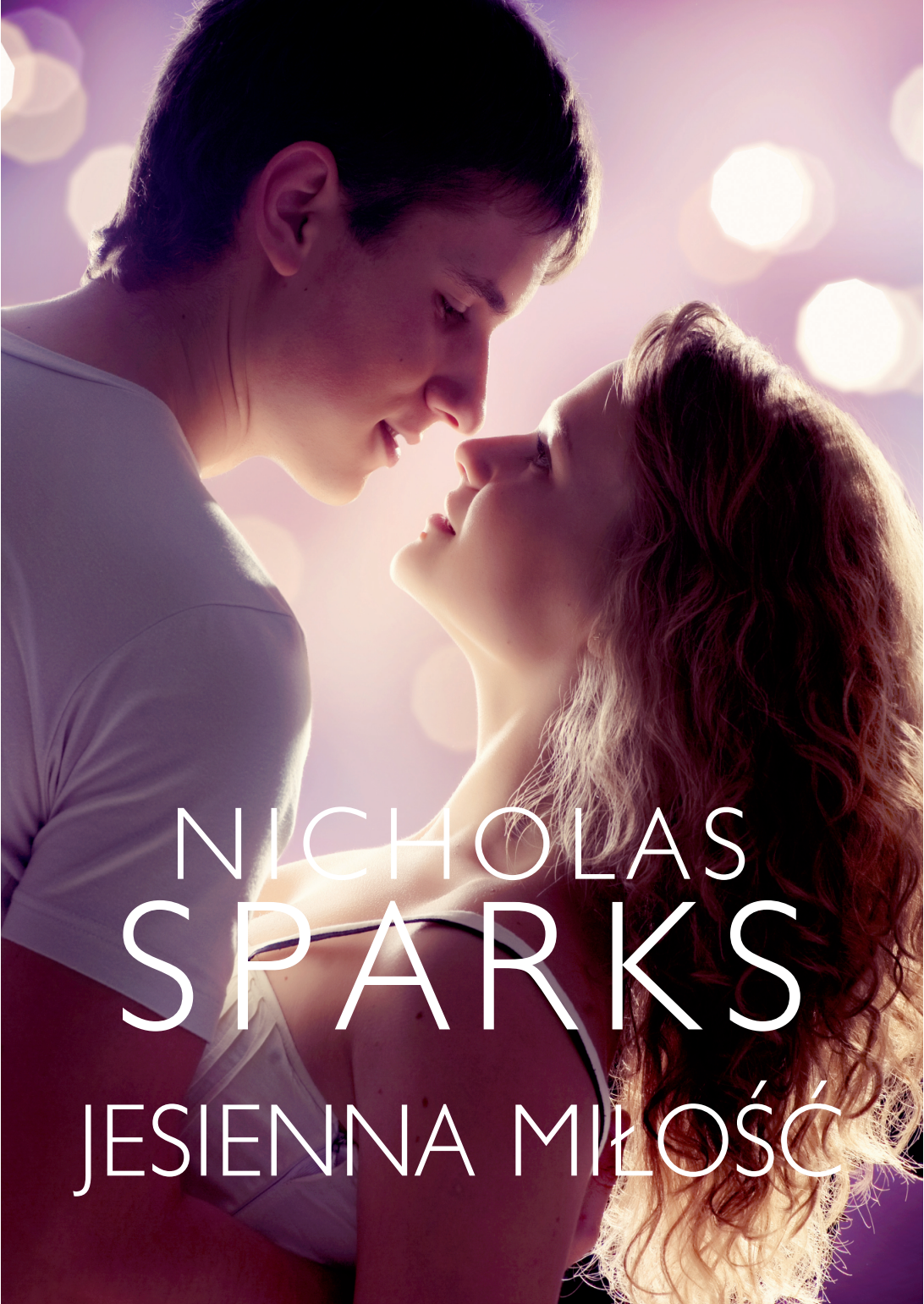




NICHOLAS
SPARKS

JESIENNA MIŁOŚĆ

Prolog

Kiedy miałem siedemnaście lat, moje życie odmieniło się na zawsze.

Wiem, że są ludzie, którzy słysząc to, bardzo się dziwią. Patrzą na mnie ze zdumieniem, jakby próbowali zgadnąć, co takiego mogło się wówczas zdarzyć, ja jednak rzadko kiedy mam ochotę to wyjaśniać. Przeżyłem tu prawie całe życie i naprawdę nie sędzę, bym musiał to czynić — chyba że na moich własnych warunkach. To jednak zajęłoby więcej czasu, aniżeli większość ludzi gotowa byłaby mi poświęcić. Mojej historii nie sposób zawrzeć w dwóch albo trzech zdaniach; nie sposób streścić jej w prostych, jasnych słowach, które wszyscy natychmiast by zrozumieli. Mimo że upłynęło czterdzieści lat, miejscowi, którzy mnie wtedy znali, przyjmują bez zastrzeżeń to, że nie chcę niczego wyjaśniać. Moja historia jest pod pewnymi względami ich historią; jest czymś, co wszyscy przeżyliśmy.

Ja jednak przeżyłem ją najmocniej.

Chociaż mam pięćdziesiąt siedem lat, pamiętam ze wszystkimi szczegółami to, co wydarzyło się tamtego roku. Przeżywam ten rok na nowo, wskrzeszając przeszłość i robiąc to, czuję zawsze dziwne połączenie smutku i radości. Są chwile, kiedy chciałbym cofnąć wskazówki zegara i wyzbyć się smutku, mam jednak wrażenie, że gdybym to uczynił, ulotniłaby się również cała radość. Przyjmuję więc wspomnienia z całym dobrodziejstwem inwentarza, dając im się porwać, gdy tylko mogę. Zdarza się to częściej, niż skłonny jestem przyznać.

Jest dwunasty kwietnia w ostatnim roku poprzedzającym milenium i wychodząc z domu, rozglądam się dookoła. Niebo jest zachmurzone i szare, lecz idąc ulicą, dostrzegam kwitnące derenie i azalie. Podciągam trochę w górę suwak kurtki. Temperatura jest niska, ale wiem, że już za kilka tygodni zrobi się cieplej i szare chmury ustąpią dniom, którym Karolina Północna zawdzięcza to, że jest jednym z najpiękniejszych miejsc na ziemi.

Nabieram w płuca powietrza i czuję, że wszystko do mnie wraca. Zamykam oczy i lata zaczynają się cofać, tykając powoli niczym obracające się w odwrotną stronę wskazówki zegara. Oglądając się jakby cudzymi oczyma, widzę, jak robię się coraz młodszy; widzę, jak moje włosy zmieniają kolor z siwego na brązowy; czuję, jak wygładzają się zmarszczki wokół moich oczu, a ręce i ramiona nabierają siły. To, czego nauczyłem się z wiekiem, zaciera się i wraz z tym obfitującym w wydarzenia rokiem powraca moja niewinność.

A potem, podobnie jak ja, zaczyna się zmieniać świat; zwięzają się drogi i na niektórych pojawia się szuter; w miejscu podmiejskich osiedli rozciągają się pola, ulice wypełnia tłum ludzi mijających witryny piekarni Sweeneya i mięsnego sklepu Palki. Na wieży w budynku sądu bije dzwon.

Otwieram oczy i zatrzymuję się. Stoję przy kościele baptystów i spoglądając na jego fasadę, wiem dokładnie, kim jestem.

Nazywam się Landon Carter i mam siedemnaście lat.

Oto moja historia; przyrzekam, że niczego nie opuszczę.

Najpierw będziecie się uśmiechać, potem zapłaczecie... nie skarżcie się później, że was nie ostrzegałem.

Rozdział 1

W roku 1958 położona nad morzem blisko Morehead City w Karolinie Północnej miejscowość Beaufort nie różniła się specjalnie od innych południowych miasteczek. Było to jedno z tych miejsc, gdzie wilgotność powietrza w lecie jest tak wysoka, że ktoś, kto wychodzi z domu, żeby wyjąć listy ze skrzynki, ma natychmiast ochotę wziąć prysznic, a dzieciaki biegają na bosaka od kwietnia do października pod dębami udrapowanymi hiszpańskim mchem. Jadący samochodem ludzie machali tym, którzy szli chodnikiem, bez względu na to, czy ich znali, czy nie, a w powietrzu czuć było zapach sosen, soli i morza, unikalny zapach obu Karolin.

Dla wielu tutejszych mieszkańców łowienie ryb w cieśninie Pamlico i krabów w Neuse River stanowiło źródło utrzymania i wzdłuż całego Nadbrzeżnego Toru Wodnego stały przycumowane łodzie. W telewizji nadawali tylko trzy kanały, ale telewizja nie była nigdy czymś ważnym dla ludzi, którzy tam dorastali. Nasze życie koncentrowało

się zamiast tego wokół kościołów, których było osiemnaście w samych granicach miasta. Nosiły nazwy takie jak Chrześcijański Kościół Wspólnego Refektarza, Kościół Ludu Odkupionego oraz Kościół Niedzielnej Pokuty. Poza tym mieliśmy oczywiście kościoły baptystów. W czasach mojej młodości było to zdecydowanie najbardziej popularne wyznanie w okolicy. Ich kościoły stały praktycznie na każdym rogu, ale każdy uważał się za lepszego od drugiego. Mieliśmy wszelkiej maści baptystów: Baptystów Wolnej Woli, Baptystów Południowych, Baptystów Kongregacjonalistów, Baptystów Misjonarzy, Baptystów Niezależnych... chyba wiecie już, o co mi chodzi.

Wydarzenie roku finansowane było wówczas przez kościół baptystów stojący w środku miasta — jeśli naprawdę chcecie wiedzieć, Baptystów Południowych — w porozumieniu z miejscową szkołą średnią. Co rok wystawiali w miejskim teatrze bożonarodzeniowe jasełka, a właściwie sztukę napisaną przez Hegberta Sullivana, pastora pełniącego służbę bożą od czasów, gdy przed Mojżeszem rozstąpiło się Morze Czerwone. No dobrze, nie był może aż tak stary, ale dość stary, by można było zobaczyć, co ma pod skórą. Była przez cały czas ziemista i jakby przezroczysta — dzieciaki przysięgały, że widzą płynącą żyłami krew — a włosy na jego głowie były białe jak króliki, które widuje się w sklepach zoologicznych koło Wielkanocy.

Tak czy inaczej, napisał tę swoją sztukę, która nosiła

tytuł *Wigilijny anioł*, ponieważ nie chciał, żeby wystawiano dalej klasyczną *Opowieść wigilijną* Karola Dickensa. Jego zdaniem Scrooge był poganinem, który okazał skruczę wyłącznie dlatego, że zobaczył duchy, nie anioły — a kto mógł zaręczyć, że te duchy zostały posłane osobiście przez Pana Boga? I kto mógł zaręczyć, że Scrooge nie wróci na ścieżkę grzechu, jeśli nie zostały wysłane prosto z nieba? W sztuce nie mówi się tego wprost — podaje się całą rzecz trochę na wiarę — ale Hegbert nie ufał duchom, jeśli nie zostały posłane przez Pana Boga. Nie zostało to wyraźnie zaznaczone i miał z tym wielki problem. Kilka lat wcześniej zmienił zakończenie sztuki — dopisał jakby własną wersję, w której staruszek Scrooge zostaje kaznodzieją i wyrusza do Jerozolimy, aby odnaleźć miejsce, gdzie Jezus dyskutował niegdyś z uczonymi w piśmie. Ta wersja nie cieszyła się wielkim powodzeniem — nawet wśród członków kongregacji, którzy siedzieli na widowni, wytrzeszczając oczy — w gazecie zaś napisali, że „choćby spektakl był z pewnością interesujący, nie była to dokładnie ta historia, którą wszyscy znamy i kochamy...”.

Hegbert postanowił zatem, że spróbuje napisać całkowicie własną sztukę. Przez całe życie pisał sam kazania i niektóre z nich, musieliśmy przyznać, były nawet ciekawe, zwłaszcza gdy rozprawiał o „gniewie bożym spadającym na cudzołożników” i podobnych rzeczach. Naprawdę gotowała się w nim krew, mówię wam, gdy mówił o cudzołożnikach. Miał na tym punkcie prawdziwego hopla. Kiedy byłem młodszy, ja i koledzy chowaliśmy się

za drzewami i widząc, jak idzie ulicą, wrzeszczeliśmy: „Hegbert cudzołożnik!”, po czym głupio chichotaliśmy, jakbyśmy byli najsprytniejszymi istotami, jakie kiedykolwiek zamieszkiwały tę planetę.

Stary Hegbert stawał wtedy jak wryty w miejscu, nadstawiał uszu — przysięgam na Boga, że autentycznie nimi poruszał — jego skóra przybierała jaskrawy odcień czerwieni, jakby napił się benzyny, a wielkie zielone żyły na karku zaczynały nabrzmiwać niczym na tych mapach Amazonii, które można obejrzeć w „National Geographic”. Rozglądał się na lewo i prawo, szukając nas oczyma wąskimi jak szparki, a potem, tak samo nagle, zaczynał blednąć i jego skóra na naszych oczach przybierała z powrotem ten rybi kolor. Warto to było zobaczyć, słowo daję.

My zatem kryliśmy się za drzewem, a Hegbert (swoją drogą, jacy rodzice dają takie imię swojemu dziecku?) stał tam, czekając, aż się czymś zdradzimy, jakby miał nas za idiotów. Zakrywaliśmy usta dłońmi, żeby się w głos nie roześmiać, w końcu jednak zawsze nas namierzał. Kręcił głową na boki, a potem nagle nieruchomiał, wpatrując się w nas tymi swoimi paciorkowatymi oczyma na wskroś przez drzewo.

— Wiem, że to ty, Landonie Carterze — mówił — i nasz Pan też to wie.

Stał jeszcze przez minutę w miejscu, żeby jego słowa zapadły nam w pamięć, a potem w trakcie niedzielного kazania spoglądał prosto na nas i mówił, że „Bóg jest

miłosierny wobec dzieci, lecz dzieci muszą być tego warte” albo coś w tym stylu. A my kurczyliśmy się w ławkach, nie ze wstydu, ale żeby znowu nie parsknąć śmiechem. Hegbert w ogóle nas nie rozumiał, co było naprawdę dziwne, zważywszy, że sam miał dziecko. Choć z drugiej strony to była dziewczynka. Ale więcej o tym potem.

Tak czy owak, jak już wspomniałem, Hegbert napisał w którymś roku *Wigilijnego anioła* i postanowił wystawić go zamiast tamtej drugiej sztuki. Sama sztuka nie była właściwie taka zła, co zdziwiło wszystkich, kiedy ją po raz pierwszy wykonano. Jest to w skrócie historia człowieka, który kilka lat wcześniej stracił żonę. Ten facet, Tom Thornton, był kiedyś bardzo religijny, ale zaczął mieć kłopoty z wiarą, gdy jego żona zmarła podczas porodu. Wychowuje teraz samodzielnie małą córeczkę, lecz nie jest nadzwyczajnym ojcem. Ta dziewczynka strasznie chce dostać na Gwiazdkę pozytywkę z wygrawerowanym na pokrywce aniołem, pozytywkę, której obrazek wycięła ze starego katalogu. Facet szuka tej pozytywki długo i uparcie, ale nie może jej nigdzie znaleźć. Nadchodzi Wigilia, a on wciąż szuka i chodząc po sklepach, trafia na dziwną kobietę, której nigdy w życiu nie widział i która obiecuje, że pomoże mu znaleźć prezent dla córki. Najpierw jednak pomagają jakiemuś bezdomnemu (swoją drogą, nazywano ich w tamtych czasach włóczęgami), potem idą do sierocińca, żeby spotkać się z dziećmi, następnie odwiedzają samotną starą kobietę,

która chciała, żeby ktoś dotrzymał jej towarzystwa w Wigilię. W tym momencie tajemnicza kobieta pyta Toma Thorntona, co chciałby dostać na Gwiazdkę, a on odpowiada, że chciałby odzyskać swoją żonę. Kobieta prowadzi go do miejskiej fontanny i mówi, żeby spojrzał w wodę, a ujrzy w niej to, czego szuka. Kiedy Thornton spogląda w wodę, widzi tam swoją małą córeczkę i wybuch płaczem. Podczas gdy on zalewa się łzami, tajemnicza kobieta oddala się. Thornton szuka jej wszędzie, ale nie może znaleźć. W końcu wraca do domu i pamiętając o lekcji, jaką otrzymał tego wieczoru, wchodzi do sypialni córeczki. Widząc ją pogrążoną we śnie, uświadamia sobie, że mała jest wszystkim, co pozostało po jego żonie, i zaczyna znowu płakać, ponieważ wie, że nie był dla niej dość dobrym ojcem. Nazajutrz rano pod choinką czarodziejskim sposobem odnajdują pozytywkę, a wygrawerowany na niej anioł wygląda dokładnie tak jak kobieta, którą Thornton widział poprzedniego wieczoru.

Nie było to więc takie złe, naprawdę. Oglądając przedstawienie, ludzie wylewali wiadra łez. Sztuka rok w rok święciła triumfy i jej popularność sprawiła, że Hegbert musiał ją w końcu przenieść z kościoła do miejskiego teatru, gdzie było o wiele więcej miejsc. Gdy chodziłem do ostatniej klasy szkoły średniej, pokazano ją dwa razy przy wypełnionej sali, co zważywszy na to, kto grał główne role, stanowiło historię samą w sobie.

Hegbert chciał, widzicie, żeby w sztuce występowali młodzi ludzie — uczniowie klasy maturalnej, a nie zawo-

dowi aktorzy. Moim zdaniem uważał, że będzie to dla nich wartościowe doświadczenie, zanim pójdą na studia i będą musieli stawić czoło temu całemu cudzołóstwu. Taki po prostu był: zawsze chciał nas uchronić przed pokusami. Chciał, żebyśmy wiedzieli, że Bóg ma nas zawsze na oku, nawet jeżeli jesteśmy poza domem, i że jeśli będziemy pokładać w nim wiarę, nie stanie się nam nigdy nic złego. Była to prawda, którą sobie w końcu przyswoilem, chociaż to nie Hegbert mnie jej nauczył.

*

Jak już wspomniałem, Beaufort nie różnił się wiele od innych południowych miasteczek, chociaż miał interesującą historię. Pirat Czarnobrody miał tutaj kiedyś swój dom, a jego statek „Queen Anne’s Revenge” leży podobno zakopany gdzieś w piasku niedaleko brzegu. Ostatnio paru archeologów, oceanografów czy jak tam nazywają się ludzie, którzy szukają takich rzeczy, ogłosiło, że go odnaleźli, lecz nikt nie jest tego tak do końca pewien, ponieważ statek zatonął przeszło dwieście pięćdziesiąt lat temu i w jego przypadku nie można po prostu sięgnąć do schowka i sprawdzić rejestracji. Beaufort bardzo się zmienił od lat pięćdziesiątych, jednak nadal nie jest wielką metropolią. Był i zawsze będzie małym miasteczkiem, ale kiedy dorastałem, ledwie zasługiwał na miejsce na mapie. Żeby umieścić całą rzecz w odpowiedniej perspektywie, muszę dodać, że okręg wyborczy, w którym

znajdował się Beaufort, zajmował całą wschodnią część stanu — około dwudziestu tysięcy mil kwadratowych — i nie było tam ani jednej miejscowości liczącej więcej niż dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców, jednak nawet w porównaniu z nimi Beaufort zawsze uważany był za wiochę. Cały teren na wschód od Raleigh i na północ od Wilmington aż do granicy Wirginii tworzył okręg wyborczy, który reprezentował mój ojciec.

Przypuszczam, że o nim słyszeliście. Nawet dzisiaj jest kimś w rodzaju legendy. Nazywał się Worth Carter i był kongresmanem prawie przez trzydzieści lat. Jego slogan podczas wszystkich kampanii wyborczych brzmiał „Worth Carter reprezentuje” — i każdy miał tam wpisać nazwę miejscowości, w której mieszkał. Pamiętam, jak jeżdżąc na spotkania wyborcze — ja i mama musieliśmy pokazywać się razem z ojcem, żeby dać do zrozumienia, jak bardzo ceni wartości rodzinne — widziałem na zde-rzakach te nalepki z nazwami takimi, jak: Otway, Chocawinity i Seven Springs. Dzisiaj taki numer na pewno by nie przeszedł, ale w tamtych czasach uważano to za bardzo wyszukaną formę propagandy. Sądzę, że gdyby ojciec próbował teraz robić coś takiego, ludzie z przeciwnego obozu wpisywaliby w puste miejsce najprzeróżniejsze świństwa, wtedy jednak nigdy się z czymś takim nie spotkalibyśmy. No, może raz. Farmer w hrabstwie Duplin wpisał kiedyś w puste miejsce słowo „gówno” i moja mama, widząc to, zakryła oczy i odmówiła modlitwę, prosząc Boga o wybaczenie dla biednego, głupiego sukin-

syna. No, może nie ujęła tego dokładnie w ten sposób, ale o to mniej więcej chodziło.

Tak więc mój ojciec, Pan Kongresman, był grubą szycłą i wszyscy o tym dobrze wiedzieli, łącznie ze starym Hegbertem. Ci dwaj zbytnio się jednak nie lubili, a właściwie nie lubili się wcale, mimo że ojciec chodził do kościoła Hegberta za każdym razem, gdy był w mieście, co, szczerze mówiąc, nie zdarzało się często. Prócz tego, że cudzołożnicy skazani będą na czyszczenie wychodków w piekle, Hegbert wierzył również, że „komunizm jest chorobą, która wiedzie ludzi do poganizmu”. Choć słowo „poganizm” w ogóle nie istnieje — nie znalazłem go w żadnym słowniku — członkowie kongregacji dobrze wiedzieli, co ma na myśli. Wiedzieli również, że odnosi je do mojego ojca, który siedział z przymkniętymi oczyma, udając, że nie słyszy. Ojciec należał do jednego z komitetów Kongresu powołanych do zbadania zasięgu „czerwonego zagrożenia”, które obejmowało ponoć wszystkie dziedziny życia kraju, poczynając od obrony narodowej i szkolnictwa wyższego, a kończąc na uprawie tytoniu. Musicie pamiętać, że trwała wówczas zimna wojna; sytuacja była napięta, a my, mieszkańcy Karoliny Północnej, potrzebowaliśmy czegoś, co sprowadziłoby całą rzecz do bardziej osobistego poziomu. Ojciec konsekwentnie szukał faktów, które były nieistotne dla ludzi pokroju Hegberta.

— Wielebny Sullivan był dzisiaj w wyjątkowej formie — mówił po powrocie do domu. — Mam nadzieję,

że słyszeliście ten fragment, w którym przypomniał, co Jezus mówił o biednych...

No pewnie, tato...

Mój ojciec starał się, kiedy to tylko było możliwe, łagodzić napięcia. Myślę, że dlatego tak długo utrzymał się w Kongresie. Potrafił całować najbrzydsze niemowlęta znane rodzajowi ludzkiemu i za każdym razem miał coś miłego do powiedzenia. „To takie łagodne maleństwo”, mówił, gdy niemowlak miał wielką głowę — albo: „Założę się, że to najśłodsza dziewczynka pod słońcem”, gdy miała znamię na całej twarzy. Któregoś razu jakaś pani pojawiła się z dzieciakiem na wózku inwalidzkim.

— Stawiam dziesięć do jednego, że jesteś najmądrzejszy w swojej klasie — oznajmił ojciec, spojrzawszy na niego tylko raz. I chłopak rzeczywiście był najmądrzejszy! Tak, mój ojciec był świetny w te klocki. Okręcał sobie ich wszystkich dookoła palca, to pewne. I nie był taki zły, naprawdę, zwłaszcza kiedy się zważy, że mnie nie bił i w ogóle.

Ale nie było go, kiedy dorastałem. Mówię to bardzo niechętnie, ponieważ w dzisiejszych czasach ludzie często twierdzą coś takiego nawet wtedy, kiedy ich rodzic był w pobliżu, i usprawiedliwiają w ten sposób swoje zachowanie.

„Mój ojciec mnie nie kochał... i dlatego zostałam striptizerką i wystąpiłam w »Potyczkach Jerry’ego Springera«”.

Nie chcę się wcale usprawiedliwiać, stwierdzam po prostu fakt. Ojca nie było w domu przez dziewięć miesięcy

w roku; spędzał je w Waszyngtonie, w apartamencie oddalonym od nas o trzysta mil. Matka nie wyjechała z nim, ponieważ oboje chcieli, żebym dorastał „w ich rodzinnych stronach”.

Ojciec mojego ojca zabierał go oczywiście na ryby i na polowanie, nauczył go grać w piłkę, pojawiał się na przyjęciach urodzinowych, jednym słowem, robił wszystkie te rzeczy, które bardzo się liczą, zanim człowiek osiągnie dojrzałość. Mój ojciec był dla mnie kimś obcym, kimś, kogo prawie nie znałem. Przez pierwszych pięć lat mojego życia uważałem, że wszyscy ojcowie mieszkają gdzie indziej. Zdałem sobie sprawę, że coś jest nie w porządku, dopiero kiedy mój najlepszy kumpel Eric Hunter zapytał mnie w przedszkolu, kim jest ten facet, który przyszedł do nas do domu poprzedniego wieczoru.

— To mój ojciec — odparłem z dumą.

— Och... — stropił się Eric, szukając milky way w moim pudełku na drugie śniadanie. — Nie wiedziałem, że masz ojca.

To się nazywa oberwać prosto w twarz.

Dojrzewałem zatem pod opieką mojej matki. Była naprawdę miłą kobietą, słodką i łagodną, matką, o jakiej można tylko marzyć. Nie zastąpiła jednak i nigdy nie mogła zastąpić męskiej obecności w moim życiu i to w połączeniu z rosnącym rozczarowaniem, jakie odczuwałem w stosunku do ojca, uczyniło ze mnie kogoś w rodzaju buntownika już w bardzo młodym wieku. Ale nie łobuza, w żadnym wypadku. Razem z kolegami

wymykałem się czasami wieczorem i mazaliśmy mydłem szyby samochodów albo pogryzaliśmy prażone orzeszki na cmentarzu za kościołem, lecz w latach pięćdziesiątych to wystarczyło, żeby inni rodzice potrzásali głowami i szeptali do swoich pociech: „Nie chcesz chyba brać przykładu z młodego Cartera. Jest na najlepszej drodze, żeby wylądować w więzieniu”.

Ja — łobuz. Dlatego, że jadłem orzeszki na cmentarzu. Wyobrażacie sobie?

Tak czy inaczej, mój ojciec i Hegbert niezbyt się lubili, ale poróżniła ich nie tylko polityka. Nie, wyglądało na to, że znali się z dawnych czasów. Hegbert było o jakieś dwadzieścia lat starszy od mojego ojca i zanim został pastorem, pracował u ojca mojego ojca. Mój dziadek — niezależnie od tego, że spędzał dużo czasu z moim ojcem — był prawdziwym sukinsynem i w zupełności zasługiwał na to miano. To on zresztą zgromadził rodzinną fortunę, nie chcę jednak, byście odnieśli wrażenie, iż był niewolnikiem własnej firmy, ciężko harującym i patrzącym, jak z biegiem czasu powoli się powiększa. Mój dziadek był o wiele cwańszy. Sposób, w jaki zarobił pieniądze, był bardzo prosty — zaczął jako przemysłowiec, sprowadzając rum z Kuby i bogacąc się na tym przez cały okres prohibicji. Potem zaczął kupować ziemię i puszczał ją w dzierżawę. Brał dziewięćdziesiąt procent forsy, którą dzierżawcy uzyskiwali ze sprzedaży tytoniu, a potem pożyczał im pieniądze, kiedy tylko chcieli, wyznaczając astronomiczne odsetki. Oczywiście nigdy nie zamierzał

ich odbierać — zamiast tego zajmował ziemię i sprzęt, jaki jeszcze posiadali. Następnie, jak to potem określał, „w chwili olśnienia” założył firmę o nazwie Usługi Bankowe i Pożyczki Cartera. Jedyny drugi istniejący na terenie tego oraz sąsiedniego hrabstwa bank rychło spłonął w tajemniczych okolicznościach i z nadejściem Wielkiego Kryzysu już nie wznowił działalności. Chociaż wszyscy wiedzieli, co się naprawdę stało, nikt nie pisał ani słowa z obawy przed zemstą, obawy, która była jak najbardziej uzasadniona. Bank nie był jedynym budynkiem, który spłonął w tajemniczych okolicznościach.

Odsetki, które ściągał dziadek, były oburzające i ludzie nie byli w stanie spłacać pożyczek, a on gromadził coraz więcej ziemi i nieruchomości. W szczytowym okresie kryzysu przejął kilkadziesiąt firm w całym hrabstwie, zatrzymując ich właścicieli w charakterze najemnych pracowników i płacąc im dosyć, żeby u niego zostali, ponieważ i tak nie mieli dokąd pójść. Mówił im, że kiedy sytuacja ekonomiczna się polepszy, odsprzeda im firmy i ludzie zawsze mu wierzyli.

On jednak ani razu nie dotrzymał danej obietnicy. W efekcie kontrolował znaczną część gospodarki hrabstwa i nadużywał swojej władzy we wszelki możliwy sposób.

Chciałbym zapewnić was, że w końcu zginął w straszliwych męczarniach, lecz wcale tak się nie stało. Zmarł, dożywwszy późnego wieku, baraszkując z kochanką na swoim jachcie przy brzegu Kajmanów. Przeżył obie swoje żony i jedynego syna. Niezły koniec jak na takiego faceta,

prawda? Przekonałem się, że w życiu nie ma sprawiedliwości. Jeśli w szkole czegoś w ogóle uczą, powinni uczyć właśnie tego.

Ale wracajmy do naszej opowieści... Kiedy Hegbert zdał sobie sprawę, jakim sukinsynem jest mój dziadek, przestał u niego pracować, wstąpił do stanu duchownego a potem wrócił do Beaufort i został pastorem w tym samym kościele, do którego uczęszczaliśmy. Przez pierwsze lata doskonalił swój talent kaznodziei, wygłaszając co miesiąc kazania na temat zła, które wyrządzają innym chciwi ludzie, i w związku z tym nie miał prawie czasu na nic innego. Ożenił się dopiero w wieku czterdziestu trzech lat, a jego córka Jamie Sullivan urodziła się, gdy miał pięćdziesiąt pięć. Jego żona, młodsza od niego o dwadzieścia lat drobna kobietka, poroniła sześć razy przed urodzeniem Jamie i w końcu zmarła podczas porodu, czyniąc z Hegberta wdowca, który musiał samodzielnie wychowywać córkę.

Stąd oczywiście wziął się temat sztuki.

Ludzie znali tę historię, zanim po raz pierwszy wystawiono ją na scenie. Opowiadano ją sobie za każdym razem, kiedy Hegbert miał ochrzcić jakieś dziecko albo wyprawić pogrzeb. Wszyscy ją znali i dlatego, jak sędzę, ludzie reagowali tak uczuciowo, oglądając sztukę. Wiedzieli, że jest oparta na autentycznych wydarzeniach, co nadawało jej specjalne znaczenie.

Jamie Sullivan chodziła wtedy, podobnie jak ja, do ostatniej klasy szkoły średniej i wybrano ją już do roli

aniola, co oczywiście nie znaczy, że ktoś inny miał wcześniej szansę go zagrać. To oczywiście sprawiało, że tegoroczna inscenizacja miała być czymś wyjątkowym. Miała stać się wielkim wydarzeniem, być może nawet największym z dotychczasowych, przynajmniej według panny Garber, która była naszą nauczycielką dramatu i wiele obiecywała sobie po przygotowywanym przedstawieniu już wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyłem ją w klasie.

Naprawdę nie zamierzałem zapisywać się w tamtym roku na zajęcia z dramatu. Naprawdę nie zamierzałem, ale miałem do wyboru to albo chemię B. Byłem przekonany, że dramat okaże się kaszką z mleczkiem zwłaszcza w porównaniu z tą drugą opcją. Żadnych prac domowych, żadnych sprawdzianów, żadnych tablic, z których musiałbym zapamiętywać protony i neurony oraz łączyć pierwiastki w prawidłowe wzory... czyż mogło być coś lepszego dla ucznia ostatniej klasy? Rzecz wydawała się oczywista. Zapisując się, miałem nadzieję, że uda mi się przespać większość zajęć, co zważywszy na moją nocną konsumpcję orzeszków, miało dla mnie wówczas duże znaczenie.

Pierwszego dnia pojawiłem się jako jeden z ostatnich w klasie. Wbiegłem zaledwie kilka sekund przed dzwonkiem i usiadłem z tyłu. Panna Garber stała odwrócona plecami do klasy i pisała wielkimi, pochyłymi literami swoje nazwisko, tak jakbyśmy nie wiedzieli, kim jest. Wszyscy ją znali — nie sposób było jej nie znać. Miała co najmniej sześć stóp i dwa cale wzrostu, płomiennie

rude włosy, bladą cerę oraz piegi, które świadczyły, że dawno już przekroczyła czterdziestkę. Miała również nadwagę — ważyła chyba jakieś dwieście pięćdziesiąt funtów — i słabość do luźnych, kwiecistych sukni. Nosiła ciemne okulary w grubych rogowych oprawkach i pozdrowiała wszystkich długim „Witam”, przeciągając śpiewnie ostatnią sylabę. Panna Garber była jedyna w swoim rodzaju, to pewne, była też wolnego stanu, co jeszcze bardziej pogarszało sytuację. Każdy facet, niezależnie od wieku, nie mógł nie współczuć takiej kobiecie.

Pod swoim nazwiskiem wypisała cele, które powinny nam przyświecać w trakcie nauki. Pierwsze miejsce zajmowała „wiara w samego siebie”, drugie „samoświadomość”, trzecie „samospelnienie”. Panna Garber była specjalistką od wszystkich rzeczy zaczynających się na „samo”, co naprawdę lokowało ją w czołówce, jeśli chodzi o psychoterapię, chociaż prawdopodobnie nie zdawała sobie z tego wówczas sprawy. Była w tej dziedzinie pionierem. Może miało to coś wspólnego z jej wyglądem, może próbowała po prostu bardziej siebie polubić.

Ale zaczynam popadać w dygresje.

*

Dopiero po rozpoczęciu zajęć zauważyłem coś niezwykłego. Chociaż nasza szkoła nie była duża, wiedziałem dobrze, że proporcje młodzieży męskiej i żeńskiej są raczej wyrównane i dlatego zdziwiło mnie, że co najmniej dziewięćdziesiąt procent obecnych w klasie to dziewczęta.

Oprócz mnie był tam tylko jeden chłopak, co wydało mi się w pierwszej chwili czymś pozytywnym i na moment załała mnie fala szczęścia. Miałem ochotę zakomunikować całemu światu: „Patrzcie, oto nadchodzę”. Dziewczyny, dziewczyny, powtarzałem w duchu. Same dziewczyny i żadnych sprawdzianów.

Cóż, nie okazałem się w tym względzie zbyt przewidujący.

Panna Garber zaczęła nawijać o bożonarodzeniowej sztuce i poinformowała wszystkich, że w tym roku aniołem będzie Jamie Sullivan. W tym momencie zaczęła klasnąć — ona również należała do kościoła baptystów i wiele osób uważało, że w pewien romantyczny sposób zagięła nawet parol na Hegberta. Pamiętam, że kiedy o tym po raz pierwszy usłyszałem, przyszło mi na myśl, jak to dobrze, że oboje są zbyt starzy, żeby mieć dzieci. Wyobrażacie sobie: piegi i przezroczysta skóra? Na samą myśl o czymś takim ludzi przechodziły ciarki, lecz oczywiście nikt nic nie mówił, przynajmniej w obecności panny Garber i Hegberta. Plotka to jedno, ale złośliwa plotka to co innego i nawet w szkole średniej nie byliśmy tacy podli.

Panna Garber dalej klaskała, przez chwilę zupełnie sama, aż w końcu wszyscy do niej dołączyliśmy, ponieważ stało się jasne, że tego właśnie od nas oczekuje.

— Wstań, Jamie — powiedziała.

Jamie wstała i obróciła się dookoła, a panna Garber zaczęła klaskać jeszcze mocniej, jakby miała przed sobą prawdziwą gwiazdę filmową.